



## Janina Ostrowska-Kin

część II z II

Sygnatura notacji: **N0519**

Data urodzenia: **01.03.1926 r.**

Data nagrania: **24.08.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Szczecin, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 64 min, część II: 61 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Janina Ostrowska-Kin:** To jest książka mojego zgrupowania. To jest ten batalion „Bończa”. Proszę zobaczyć, tu jestem ja. Ale tu już mam 19 lat. Na dole. O tu jest mój brat. Ten – Ostrowski Tadeusz. On miał już 23 lata, był po ćwiczeniach, był po wykładach, był starszym strzelcem i miał..., był na placówce, na Starym Mieście. No w każdym razie. A tutaj w tym zestawie jest pani, która 5 [sierpnia], Tomek zorganizował dla nas taką uroczystość, i przyjechały dwie panie, jedna z Gdańska, Wanda, powstaniec warszawski, którą znam, znałam z wcześniejszych spotkań. Natomiast przyjechała pani z Krakowa, była na wózku, z córką, obok mnie siedziała. Ja zobaczyłam, że na jej ręka-  
wie jest wypisane „Róg”. Ja mówię: „Proszę panią, a gdzie pani była? Na której placówce? Bo ja byłam na Poczcie Głównej”. A ona mówiła: „Byłam na Starówce, byłam sanitariuszką”. Dowiedziałam, że to jest pani, którą Tomek sprowadził z Krakowa, bo ona miała sto lat, sto lat. Nie chodziła, ale bardzo świadoma, bardzo przyjemna pani. Ja pytałam się jej..., i miałam tę książkę przy sobie, bo ja noszę, bo młodzież się interesuje. Ja mówię proszę panią, a może pani siebie tutaj znajdzie? Ona szuka, szuka. Proszę pana, okazuje się, że to jest ta pani. „Zawsze mi się ta twoja fryzura nie podobała”. Więc starsza była ode mnie trzy lata, tak. Ja mam teraz 97 i pół, bo ja z 1 marca, więc z pół roku już mi poszło, uciekło. No więc..., i tutaj nawet więcej jest moich znajomych, którzy tu byli w moim klubie [kole], tak. Ale muszę panom powiedzieć, że jak byłam w Warszawie i poszłam na Powązki. My mamy tam swój taki pomnik „Roga”. I spotkałam tam kilka osób, żeśmy się tak zebrali, to myśmy się nie poznali. Dopiero jak zaczęliśmy rozmawiać, gdzie kto był, w którym miejscu, co robił. Dopiero wtedy: „Acha, to tak, to, to pewnie widzieliśmy się”, to to i owo, bo myśmy się tak wszyscy zmienili. Wspominałam, że nie wolno mi było pójść spać tam, na tą górę, na tę leżankę, którą sobie ulokowałam tak w przedpokoju. Nie poszłam. Posłuchałam się cici. Byłam w piwnicy. Idę rano, tak jak mówiłam, że zawsze chodziłam rano umyć się, załatwić. Wchodzę do przedpokoju i patrzę, że coś za widno w tym

przedpokoju. Głowa do góry, bo to są takie 3.5 piętrowe [metrowe] przecież wysokości mieszkania. Zobacz, a tu niebo widać. Patrzę na leżankę, a na leżance rozsypane: słoma, taka trzcina, a na podłodze taki pojemnik. Akurat były zrzuty. Myśmy spalili to na tym skwerku, te, to ognisko, te zrzuty nam rzucano. I akurat taki jeden pojemnik trafił akurat na tę moją leżankę. Czy pan sobie wyobraża taki zbieg okoliczności? -Przecież to ciężkie było... Oczywiście, pobiegłam do chłopaków i mówię: „Weźcie koce, mamy broń”, tylko trzeba wyczyścić, bo to wszystko cementem było takie... Bo to pękła ta tektura, z której ten pojemnik był zrobiony. Ona pękła jak spadła na tę leżankę. Nie na tę [leżankę], tylko na strop. Ona się już pewnie tam na tym stropie rozbiła, bo to piąte piętro. No rozeszła się od razu po całej dzielnicy, tam, ulicy, że spadło... Żywność! Żywność! Ja wchodzę do cioci, tam do piwnicy, a ciocia mówi: „Jak ty mogłaś?”. Wszyscy rozebrali wszystko, a my nic nie mamy do jedzenia. Ja mówię: „Ciociu, to nie było zrzut jedzenia. To była amunicja, tylko. Nic nie było.”. I teraz pan mówi, mówicie panowie o kapitulacji. Naprawdę była rozpacz, była straszna rozpacz. Byliśmy tacy zawiedzeni. Byliśmy tacy rozczarowani. I znów jest strach. Co robić? Iść do niewoli, tak jak większość, z wojskiem? Tak poszli moi wszyscy bracia. Wszyscy bracia poszli do..., jako żołnierze. Ciocia mówi: „Nie wolno, nie wolno tobie nigdzie iść”. Ja mówię: „Ciociu, ja nie pójdę do Niemiec, za Boga nie pójdę”. No i wyszłam z ludnością cywilną. 6 października. A dlaczego 6 października? Bo 2 października już były afisze rozlepione, że ludność cywilna ma termin do 6 października opuścić Warszawę. Kto nie opuści Warszawy, do 6 października zostanie rozstrzelany. Ciocia, mamy dom, mieszkanie, tam dziura w dachu mała rzecz, że przebita, bo to był taki kwartał, więc te wszystkie domy z tymi wszystkimi ulicami były połączone, bo każde mieszkanie na ostatnim piętrze to miało dziurę, żeby przechodzić do następnego, bo gdyby coś na dachu się paliło, to żeby od razu były kontakty. Także w pokojach były powybijane takie otwory, ale to bez znaczenia. No i okazało się, że mieszkanie mamy. Kapitulacja. Może do 6 sierpnia [października] coś się zmieni? Może jednak, żeby zostać? Są szanse żeby..., to było mieszkanie trzypokojowe. Takie dosyć, powiedziałabym bardzo na tamte czasy ekskluzywne. Parkiet, w dobrym punkcie. No ale 6 już doszło do, ciocia..., nie ja decydowałam, bo to przecież co ja miałam do powiedzenia, zadecydowała, że wyjdziemy, że wyjdziemy. No więc poszła znów plecaki z takich ścierek lnianych, dużych, z tymi sznurkami na ramiona. Załadowała to, co uważała, że będzie nam potrzebne. Dostałam ja taki plecak, ona sobie wzięła taki plecak i 6 października wyszliśmy z tą ludnością cywilną do Pruszkowa. No i co? Idę do Pruszkowa, do obozu. Ale 6 sierpnia, 6 października, jak to reszta Warszawy ludności ruszyła. Zrobił się taki tłok. [niezrozumiale] ludzie z wózkami, z tłumokami. Ja też mam dużo zdjęć na ten temat. Ciężba taka niesamowita. Płaczą, krzyczą, nawołują się. Myśmy się bardzo trzymały, żeby się w tym tłoku nie rozłączyć, żeby być razem. Okazało się, że to było nie do..., niemożliwe. I ja się w pewnym momencie z tą ciotką moją zgubiłam. Szukałam jej w tym tłumie, jak szłam i szukałam. Ona mnie, ja ją. Ale doszłam do takiego skrzyżowania, gdzie zauważyłam, że od tej drogi, która prowadzi do obozu, jest taka droga, na której stoją pojazdy. I zorientowałam się, że nie ma nikogo, kto by mnie tam może zauważył i ja z tej szosy, z tego nasypu, zsunęłam się do rowu i w tym rowie przeleżałam do zmierzchu, podczołgałam się tam, gdzie były te wozy. Tutaj miałam to wszystko pościerane tymi sznurkami, bo to chude było. Krew mi tutaj przerażała się tym, że ta krew mi [się] pokazała. Położyłam się tam w tym rowie tak, żeby tego plecaka nie zdejmować, tylko żeby odpocząć. No i te furmanki. To były furmanki, takie platformy, które w czasie okupacji rozwoziły węgiel i sprzedawały na wiaderka po pięć kilogramów węgla. Tak się kupowało, niestety. Załadowane, para koni, ta platforma, taka góra z czegoś, nakryte i na tym siedziało około 10, chyba 11 osób. Ja tam w tym rowie tak siedziałam i ktoś się do mnie odezwał. Ja tak na dole, a oni tak na tej górze: „Co ty dziecko tu robisz?” I tu ja powiedziałam, że boję się iść do obozu do Pruszkowa, bo mnie wywiozą do Niemiec. Jestem z Powstania Warszawskiego. No i tak

się tam skomunikowałam z tą osobą, która tam na tej górze mnie wypytywała. I w pewnym momencie ten głos się odzywa: „Podaj mi plecak i wskakuj”. Podał mi ręce. Ja wyszłam z tego rowu. Wciągnęli mnie tam na tę górę. Odkryli ten taki brezent. Powiedzieli: „Połóż się tutaj”, nakryli mnie brezentem. Znów wszyscy usiedli. I ja w jakimś momencie słyszę, że konie ruszają. Bo był szlaban i był wyjazd do Radomia. To były takie miejsca, gdzie można było opuścić strefę warszawską, bo to była strefa, strefa zakazana. Myśmy się nie mogli poruszać po tej strefie. I słyszę, jak przy tym szlabanie proszą o przepustki i tak dalej, i tam legitymują. No i okazuje się, że wjeżdżamy za ten szlaban. Po jakimś czasie mnie tam odkrywają. Jesteśmy w jakiejś wiosce, nie wiem w jakiej. Ale to już noc była. Jeden z panów poszedł gdzieś tam do jakiejś chaty poszukać noclegu. I pamiętam, nie pamiętam tej miejscowości, ale znalazł gospodynię, która wyraziła chęć, że jedna izba jest. To ona nam wyścieliła podłogę słomą. I osób to było nas tak..., nie pamiętam. W każdym razie to był cały zespół. Ja zaraz powiem panu, panom, kto to był, co to był. Jakiś zespół teatralny, który miał przepustkę, żeby wystawić przedstawienie w Radomiu. Jacyś artyści. No i ta pierwsza noc to była taka, że na tej, w tej izbie ta pani nam wyścieliła pod jedną ścianą takie snopki słomy, pod drugą. I pamiętam, że ugotowała taki sagan. Wiecie jaki sagan jest? Taki czarny garnek ziemniaków. Przyniosła nam te ziemniaki, postawiła tak między słomę i myśmy po tym ziemniaczku sobie z tego saganku tutaj po kolei i zjedli. I dopiero się dowiedziałam, kto jest, kim jest ten zespół. I pamiętam taki dowcip, który mnie trochę przeraził, bo żartowano. Któryś z panów zażartował: „Ciekawe, który będzie z nas spał, spał przy tej najmłodszej?”. Mnie to bardzo przerażyło i prawdopodobnie musiałam zdradzić to swoje przerażenie, bo pani, która siedziała obok mnie, bo my na podłodze siedzieliśmy na tej słomie, mówi: „Nie martw się, dziecko, nie martw się, będziesz z nami spała”. I tak spałam, że po tej stronie spały same kobiety, a tam mężczyźni. I tak wylądowałam w tej strefie nie zakazanej. No. I na następny dzień pojechałam z nimi. Znów jeden z tych panów poszedł gdzieś tam, widocznie był zorientowany, na posterunek straży, i okazało się, że tam tę straż mają Węgrzy, z tymi piórami takimi, tego... No. Powiedział, że jadą na to przedstawienie do Radomia, potrzebują podwozę, bo to wtedy się mówiło, że podwozę, nie furmankę tylko podwozę, żeby ją zorganizowali, taką właśnie podwozę, że jest na tyle i tyle osób, żeby nas odwiozła do najbliższego miejsca gdzie jest kolej, gdzie przesiądą się na kolej i pojedą tam do tego miejsca przeznaczenia. No i załatwił wszystko. Tak dalece, że do tego nawet dworca to eskorta była węgierska. Pilnował nas, żeby żaden Niemiec nie przyjechał na kontrolę nas. Ale ja wysiadłam już w Zalesiu Górnym, powiedziałam, że ja już te miejsca znam, że jest tutaj PCK, ja pójdę do PCK, zgłoszę, że ja żyję i zgłoszę, żeby ciocię odszukać. Żeby ona wiedziała, że ja nie jestem w Niemczech, tylko że jestem w Polsce, i żeby ona dała mi znać, gdzie ona jest, bo ją zabrali do Pruszkowa. To była starsza, zmarnowana, bardzo zmarnowana kobieta, siwusienka, załadowali na takie wagony węglarki i wysłali do Krakowa. A ona w Krakowie nikogo nie miała. Wysiadła na dworcu, siedziała na tym swoim bagażu i zainteresował się jakiś kolejarz nią. Co ona robi, że siedzi? Na co ona czeka? No to ona powiedziała co. No i powiedziała, że ona bardzo by chciała dostać się do Skierniewic, bo tam ma znajomych i tam może się zatrzymać. Więc on powiedział: „Niech pani spokojnie czeka, ja się panią zaopiekuję, jak będzie pociąg w tamtą stronę, ja pani dam sygnał i panią załadują”. I tak było, że ciocia znów z tego Krakowa wróciła do tego Skierniewic. A w Skierniewicach była rodzina, która nas znała, należała do AK, Miała dwóch synów i córkę, młodszą ode mnie dziewczynkę, i starszego ode mnie chłopca – syna. I ci obaj chłopcy należeli do organizacji właśnie, do partyzantki. I jeden z nich, w ogóle tam była wyspa w tych Skierniewicach. To byli bardzo zamożni ludzie, bo mieli piekarnię w tej miejscowości, sklep spożywczy i gospodarstwo. A jak się nazywali? Państwo Kiełbasińscy. I ciocia tam trafiła do nich i bardzo im się przydała. Bo na tych wszystkich... A teraz dlaczego oni się tak z nami zaprzyjaźnili? Bo jak była wyspa, to ten najstarszy uciekł do Warszawy, do nas

i u nas się ukrywał. I ta rodzina zawsze mówiła cioci, że gdyby nam się jakaś krzywda działa, to oni są zawsze gotowi nam pomóc. Rozumie pan? I myśmy się tego uchwyciły, że jeżeli nas rozdzielą, czy będziemy pisały jakieś korespondencje, to właśnie na ich adres, tam do tych Skierniewic. I teraz ciocia już..., nie wiedziałam, że jest w Skierniewicach, jeszcze nie wiedziałam. A ja rozstałam się z tym zespołem teatralnym. Poszłam właśnie do Zalesia, Zalesia Górnego, tam do PCK. Zgłosiłam to, co chciałam zgłosić, o co mnie zapytali. Wypisałam kartkę, dolepiłam do tych kartek, bo to był taki sposób poszukiwania się, prawda? I wyszłam z tego PCK i tak myślałam, gdzie ja teraz pójdę na nocleg? Gdzie ja się gdzieś zaczepię? I tak czekając tam, myśląc, widziałam, że idzie trzy osoby. Widząc dwie osoby, dwie osoby, dwóch panów. I ten jeden pan to taki jakiś mi był znajomy jak gdyby. Więc doczekałam się. Oho, już zaczynam... Jestem bardzo podniecona tymi wspomnieniami. Zbliżają się do mnie, a on mówi do mnie: „Janeczka, skąd ty się tu wzięłaś?”. To był znajomy mojego taty, z którym pracował mój ojciec i miał córkę taką jak ja, i która chodziła do tej samej klasy i szkoły co ja, i teraz on przeżył tragedię. Jechał..., przyszedł, bo wtedy się nie jeździło pociągami, bo się łąpało wszystkich z pociągów, Niemcy wyłapywali. To się chodziło. On szedł ze znajomym z Żyrardowa, z Żyrardowa, przyszedli do właśnie do tego Zalesia, do PCK, żeby zgłosić. I on, ten mój znajomy, żeby zgłosić tę swoją córkę, którą wywieźli do Niemiec, tę moją rówieśnicę Halinkę, a ten drugi pan, którego poznałam, siwy, taki bardzo już starszy, okazał się pan inżynier, który na Mokotowie mieszkał, na [ul.] Odyńca miał willę, bardzo zamożny jakiś współwłaściciel na Polnej Lardellego tej kawiarni, która była. Przyszedł zgłosić do PCK, żeby żonę odnaleźć, bo ona została w Powstaniu na Mokotowie, a on gdzieś indziej był w tym czasie. No i do tego budynku. A ja mówię, że ja już byłam, wszystko załatwiłam, zgłosiłam ciocię i tak dalej. No i ten pan, przyjaciel mojego taty, mówi: „Słuchaj, nie ma Halinki, ale ja ciebie zabieram. My u tego pana w majątku jesteśmy z żoną i tym dwojgiem pozostałych dzieci Basią i Tadkiem. I ja ciebie zabieram jak Halinkę”. No i już mnie zabrali ze sobą. Proszę panów, ten pan inżynier, idzie nas trójka ulicą, w tym Zalesiu, jedzie chłopiec na rowerze i to na rowerze takim dużym, bo nie siedzi na rowerze na siodełku, tylko pedałuje jak to się na dużym... Tak się jeździło kiedyś, prawda? Dojeżdża do nas, kładzie na krawężnik rower, podbiega do pana inżyniera i mówi: „Panie inżynierze, dobrze, że pana widzę, bo pana żona jest u nas – w Żabieńcu”. Mówię panu, to jak z filmu. Ja to zawsze mówiłam, że się chyba zmarła mama tak się mną opiekuje. Bo ja już zwątpiłam w Pana Boga. Że ona po prostu tak jakoś mnie prowadzi, że ja zawsze trafiam na tych dobrych ludzi, którzy zwrócą uwagę na mnie. No i już ten chłopiec wrócił tym rowerem i zawiózł nas, zaprowadził nas do tego Żabieńca. No ja jako ta przyczepka, prawda, obserwuję, co się dzieje. Ta pani młoda, bardzo ładna kobieta. Ten pan taki mocno starszy i Francuz. Okazuje się, że on się zabłąkał na, w Powstanie na Mokotowie, na tego Odyńca, i razem z nią, z tą żoną, wyszli z Warszawy i dostali się do znajomych, na Odyńca, do Żabieńca. No i tam żeśmy się wszyscy spotkali. Przenocowaliśmy, nie wiem, ile tam byłam, nie potrafię powiedzieć. Ale był okres, że już miałam powiedziane, że idziemy do Żyrardowa. No i do Żyrardowa to szedł tak: już pan inżynier z żoną, z Francuzem, ten nasz znajomy ze mną, prawda? Więc była nas garstka. Zachodzimy do Żyrardowa. To nawet nie w Żyrardowie samym, tylko pod Żyrardowem. Okazuje się, że ten pan inżynier pochodził z takiej rodziny, majątek właśnie mieli pod Żyrardowem rodzice. I ten majątek odziedziczyła jego siostra. I tam do tej siostry zaprowadzili mnie. Już bliżej Skierniewic, prawda? No, i okazało się, że w tym majątku, ta rodzina państwa Świeków dostała od tych państwa takie pomieszczenie, gdzie się przygotowywało paszę dla zwierząt. Też słoma rozłożona i na tej słomie się spało. Jakoś mnie ta pani Janina, też moja imienniczka, bo przecież mnie znała, bo znała moich rodziców, jakoś doprowadziła do ładu, domyła. Jak to mówią odwszyła, bo to wszy oblażyły, bo to jest zwierzę, które pasożytuje chyba na nędzy. Naprawdę. I ja mówię: „Wiesz, wie pani co, pani Janko, ja pojedę do Skierniewic”, a ona mówi:

„Ty nie jedź, tylko idź zbożami, tak gdzieś lasem. Możesz pójść na stację, ewentualnie w samym Żyrardowie i zwrócić się do kolejarza, żeby on cię tę jedyną stacją do tej Rawki zawiózł”. Tak zrobiłam. Poszłam na dworzec do Żyrardowa, przyjechał pociąg, poszłam do lokomotywy, do tego pana, tam wysoko na tej lokomotywie, stanęłam tak pod tym i mówię: „Proszę pana, gdzie wsiąść, żeby mnie nie złapali, bo ja chciałabym dojechać do Rawki”. „No skąd ty jesteś?”. Ja mówię: „Z Warszawy, z Powstania”. No jest moment, tam jest ten gwizd, że pociąg odjeżdża, a on mi mówi: „Jak chcesz być bezpieczna, wskakuj na ten wagon przed lokomotywę”. A przed lokomotywą jechała platforma wypełniona kamieniami, bo to była obrona przed miną, że jakby najechała kolej, najechała na minę, to przede wszystkim te kamienie, ten wagon by wyleciał, a reszta już by się wyhamowało. Ja wlażłam na te kamienie, weszłam, dojechałam do tej Rawki, on zwolnił, przystanął, zesłam, doszłam do tej rodziny, dowiedziałam się, że ciocia jest... No to teraz wyobraźcie sobie, to było tak: w październiku wyszłam, tak, w listopadzie wędrowałam, w grudniu już byliśmy u tych znajomych, bo było Boże Narodzenie pamiętam, prawda? Była taka uroczystość świąteczna. W styczniu wyzwolona została Warszawa. 1945 rok. 17 stycznia. Ciocia mówi: „Idziemy do Warszawy” Bo dom stał, prawda? No, idziemy do Warszawy. Zimno, mróz, śnieg. Ja widziałam człowieka rozjechanego przezczołgi, jak pergamin. Jak pergamin. Ten wiatr to tym kształtem człowieka, jak po tej szosie jakby wędrował. I ciocia zadecydowała, że my idziemy do Warszawy, pieszo ze Skierniewic, 63 kilometry. Szliśmy 2 dni. 19 stycznia byliśmy, byliśmy w Warszawie. I patrzymy – domu nie ma. Gruzy. Proszę panów, Warszawa po Powstaniu nie była tak zburzona. To dokonali dopiero po 6 października Niemcy. Systematycznie, dom po domu, ulica po ulicy, wszystkie domy zostały zniszczone. W tej okolicy, gdzie ja mieszkalam, został bank, został ten drugi bank pod Orłami, jak będziecie panowie tam na [ul.] Zgoda to możecie to zobaczyć, tak. Bo będzie ten wieżowiec na tym moim miejscu gdzie ja mieszkalam. Jest na Zgoda ten duży, taki długi dom, gdzie zaraz w 1945 roku się zainstalował cały..., kandydaci na rząd nasz, ludowy. Oni tam mieli stołówkę, hotel i tak dalej. To ten [niezrozumiałe] też ocalał, A nasz – gruzy. Wszystko zgruzowane. Nawet do piwnicy nie można było wejść, bo to wszystko usiadło na piwnicy. No i co? No to mamy rodzinę na Grochowie. No to ciocia mówi: „Idziemy na Grochów do ciotki”. Poszliśmy nad Wisłę. Wisła była zamrznięta. To nie tylko my, tłumy ludzi wróciło do Warszawy. Na tej Wiśle były wydeptane ścieżki, takie gęsiego. Co jakiś, taka odległość, to takie tu jak no, gęsiego, jak ktoś chciał pokonać rzekę. Była zamrznięta. Dostaliśmy się na Pragę, z Pragi na Grochów, zachodzimy na [ul.] Podskarbińską, do cioci, ciocia ta miała dwa pokoje, kuchnię. We dwie ja i ciocia. Okazało się, że tam już tyle ludzi jest z rodziny, tyle się nazbierało, że ja jestem najmłodsza, i że dla mnie chyba nie ma miejsca. Nie wiem, ile tam byłam na tym Grochowie, ale ciocia poprosiła mnie, to ta druga ciocia, już nie ta, która się mną opiekowała, bo tą zaopiekowała się ta jej siostra, prawda. To jakaś cioteczna była siostra. Powiedziała: „Ty już zostań u nas, no a Janka musi iść do Łodzi, do Pawła”. To do wujka znów mnie wysłała. Mówi: „Daj mi swoją kenkartę, ja wymienię te 500 złotych”, bo wtedy dostawało się na tę kartę 500 złotych, kupiła mi taki bochenek chleba razowego na drogę i mówi: „No wiesz, nie ma, przykro, musisz, iść do Łodzi, do wujka, tam u wujka, może się jakoś zatrzymasz. Tam są jeszcze takie dwie rówieśnice u wujka, siostry twoje...”, to był brat mojej mamy – Paweł, „...i tam przeczekasz”. No ponieważ w tej gromadzie, która tam nocowała na Grochowie, była znów jakaś tam pociotka, pani, którą ja znałam już z czasów, kiedy mama żyła. Nie wiedziałam, czy ona należy do rodziny, czy ona należy..., jest koleżanką mamy, ale mówi tak: „Wiesz co, Janeczka, ja ciebie zabiorę”. Ja ją znam z Powstania, Ona mnie tam często zabierała, żebym się umyła i tak dalej, i podkarmiła mnie czasami. „I ja ciebie zabiorę, ja mieszkam pod Łowiczem...”, bo ona też jak wyszła z ludnością z siostrą i chorym dzieckiem, to z obozu jakoś wydostała się i pod Kutnem wynajęła na wsi jakieś mieszkanie, gdzie ulokowała tę swoją siostrę z tym chorym dzieckiem. A to dziecko

było w gipsie, więc możecie sobie wyobrazić, jakie to chore dziecko w gipsie całe sztywne, tylko główka była na zewnątrz. No i we dwie, pani Zofia mi powiedziała: „No to chodź ze mną, chodź ze mną.”. No to ja tu widzę, dla mnie nie ma miejsca, rozstałam się i idę do tej Łodzi. Znow to jest luty. To jest koniec stycznia i początek lutego. Od 2 lutego, w Matki Boskiej Gromnicznej, już byłam w Łodzi. Teraz proszę sobie wyobrazić, że idziemy z tą panią, tą Zosią nad Wisłę, żeby przejść na Śródmieście, bo ta pani miała jeszcze miejsce, gdzie miała zakopaną kasetkę i tę kasetkę chciała wyjąć przed wyjściem, bo tam były jakieś wartościowe rzeczy. A tu płynie Wisła. Już to wszystko się puściło, nie było można było, nie było możliwości przejścia, a nie było żadnego mostu na Wiśle. Jeden pontonowy był taki ruchliwy, gdzie tylko wojsko jechało. Wojsko, Rosjanie jechali, dosłownie. No ale przy tych pontonach, gdzie to wojsko wyjeżdżało na te pontony, zrobił się tłum ludzi, którzy chcieli się, tak jak my, przedostać na tamtą stronę. I teraz ta pani, to pani duża osoba, potężna, ja taka chuda, mała. Jest moment, że zatrzymały się te rosyjskie samochody. Czekają na wjazd na ten ponton. Ona uczepliła się tej kłapy z tyłu. Jej pomogli tam wejść do środka, a ja jak wyciągnęłam ręce, to ten samochód ruszył i ja zostałam. Nie dostałam się tam do tej budy i zostałam z tym zawiniątkiem tego chleba. I chodzę tak, chodziłam tak, chodziłam. Przyjechał taki Rosjanin motorem i miał przyczepę. W tej przyczepie nikogo nie było, tylko on. I ja tak szybko się koło tego motoru tam przechadzałam, i on mnie się pyta w pewnym momencie, zaczepił mnie i tak: „Wodku imiejesz?” [ros. Czy masz wódkę?]. Ja mówię: „Nie, nie mam, ale chleb mam. Mogę ci chleba dać” – „Chleba mienia nie nada” [Chleba mi nie trzeba] – on do mnie mówi. „A co ty robisz, że ty po rusku mówisz?”. – „Ja? Bo ja znam rosyjski”. No to zaczął ze mną rozmawiać. Jak ja zobaczyłam, że on ze mną..., że on zaczyna już ruszać, to ja wskoczyłam do tego kosza, zdjęłam jego czapkę, założyłam sobie, skuliłam się tam w tym, tym i przejechałam na tę drugą stronę przez tę Wisłę. On mnie się pyta gdzie mnie wysadzić. Ja mówię na ulicy Brackiej, ja ci powiem gdzie. Zdjęłam tę czapkę, powiedziałam: „I tu mnie wysadzić”. On się zatrzymał, ja sobie wyszłam. Dołączyłam do tej pani Zofii na tę ulicę. Boduena, ha-ha-ha, i dalej wędrowaliśmy znow do Łodzi. Takie historie. I słuchajcie, każdy z nas jak my byliśmy w klubie te 70 osób, to każdy z nas to książka. Naprawdę. To książka o tym, jak mieliśmy po 14, 15, 16, 17 lat. Mało było, żeby było 27... Wędrowaliśmy. Więc złapała nas..., Tę kasetkę wykopała ta pani. Odzyskała to, to, te swoje swoje skarby. Poszliśmy do tego miejsca, gdzie ona właśnie tę chatę wynajęła i siostra jest pod Kutnem. No ale złapał nas taki straszny śnieg, mróz. I ona do mnie mówi: „Wiesz co, nie damy rady dalej iść”. Ja już byłam w takim stanie, że powiedziałam do pani Zofii: „Wie pani, niech pani idzie, ja już tu zostanę”. A ona tak do mnie, pamiętam, powiedziała: „Janka, zobacz, mijają nas ludzie w drewniakach, z bosymi nogami, w pasiakach. Ty widzisz z obozu ratują się, a ty, młoda nie chce się dalej iść? Mówisz, że nie masz siły?”. Takie były sytuacje. I rzeczywiście dobrnęliśmy do Zaborówka, w Zaborówku była tam jakaś daleka jej rodzina. Okazało się, że ten pan jest sołtysem tej miejscowości. Musieliśmy tam być, chyba z tydzień ja tam byłam, bo robiłam na drutach dwa męskie swetry, dla gospodarza i dla syna, bo ja umiałam robić na drutach. I pewnego dnia pani Zofia mówi do mnie tak: „Wiesz co, mamy taką okazję...”, bo ten pan sołtys był w kontakcie z jednostką rosyjską, która tam stacjonowała gdzieś w pobliżu, bo nie wiem, czy tam była sprawa zaopatrzenia czy coś takiego. I on wrócił od tych Rosjan i dowiedział się, że oni następnego dnia rano wyjeżdżają na Berlin, a więc przez Kutno. No właśnie o to chodziło, żeby się tam dostać pani Zofii. I mówi do tej swojej krewnym, do tej: „Jeżeli byście się zdecydowały jechać z tymi Rosjanami, to ja mogę wam załatwić, że jutro rano byście pojechały z tymi żołnierzami właśnie, chociaż by was tam trochę podwieźli. No ja o tym nawet nie wiedziałam. No ale pani Zofia zdecydowała, że skorzysta. No, że skorzystamy. No więc tak załatwił, że następnego dnia rano my we dwie poszliśmy do tej jednostki rosyjskiej. Panią Zofię wsadzono do szoferki, bo to była pani w wieku mojej mamy, prawda? A mnie na tą górę tam do tych

sołdatów, po jednej stronie siedziało chyba sześciu, po drugiej stronie sześciu, i dwóch na szoferce, tak, a mnie wsadzono między tych dwóch. Tak, że ja za sobą miałam szoferkę, tę blachę. Niesamowicie zmarzłam, nie miałam ciepłego płaszcza, tylko taki gabardynowy cienki. Miałam powydzierane takie na kolanach, od czepiania się tego wszystkiego, rajtuzy, bo to rajtuzy się nosiło. Kolana jedno na prawo, drugie na lewo nosiłam, żeby zakryć te gołe ko... Zmarzłam, podobno byłam fioletowa. Jeden z nich, który ze mną rozmawiał w czasie jazdy, pytał się mnie co ja robię, dlaczego ja jadę, a nie wychodzę za mąż? Nie? Takie takie gadki. Też taki był młody człowiek. Oni wszyscy w tych korzuchach swoich, pasami, opasani, prawda. Z karabinami No i ten młody, ten, co siedział po tej właśnie stronie lewej. Pyta się: „Czemu ty nie wyjdiesz za mąż, a szukasz szczęścia?”. Ja mówię, że ja szukam ojca, bo ojciec jest w niewoli. I jadę do Łodzi, żeby go znaleźć. No i taka..., okazuje się, że on zdejmuje ten kożuch, odpina pas, kładzie na środku tam tego samochodu na podłodze, i mówi do mnie: „Sadis” [ros. siadaj], żebym usiadła w to. Zebrał te rękawy, powiązał i żebym się tak ogrzała. A ja jeszcze do niego mówię tak: „Słuchaj, a tam wszy nie ma?”. On: „Nie ma, nie ma, nie ma”. Bo ja już taka byłam przewrażliwiona. Wiedziałam czym to pachnie. Mówi: „Nie ma, nie ma. Siadaj”. No i usiadłam. On mnie tam tym kożuchem związał. No i dojechaliśmy do mostu. Przed Kutnem pani Zofia widocznie u kierowcy poprosiła, żeby przystanął. Ona wysiadła, mnie z tego kożucha tam wyjęli też. Do pani dołączyłam, podziękowałam. No i doszliśmy do miejsca, gdzie ta pani Zosia mieszkała. Ja dopiero z tamtej miejscowości wyszłam sama, solo do Łodzi. I 2 właśnie lutego, w Dzień Matki Boskiej Gromnicznej, byłam w Łodzi na Radogoszczy. Doszłam do Łodzi i okazało się, że mnie nie wpuszczają. Jest szlaban, i dowiaduję się, że dopiero teraz, parę dni temu, Niemcy opuścili Łódź i podpalili Radogoszcz, to było więzienie, więzienie, i każdy kto wchodził do Łodzi to nie mógł wejść drogą, czy trotuarem czy jezdnią, tylko musiał wejść na teren więzienia, obejrzeć to co się tam działo i wyjść dopiero na ulicę i iść dalej. I byłam świadkiem ludzi poukładanych, bo okazuje się, że podpalono więzienie, żywcem wyskakiwali z okien więźniowie. I mało, ja pamiętam, że tam było tak dużo osób, którzy rozpoznawali swoich krewnych. Ale ponieważ ja już byłam taka widocznie już nieczuła na to, bo po Powstaniu człowiek jest naprawdę nieczuły. A jeszcze jak jest młody, to myślę o tym: „No już jak wyszłam, to niech chociaż żyję”. I poszłam do wujka. Stałam w drzwiach i wujek pyta się: „A kim ty jesteś?”. A widział mnie, jak miałam cztery lata, podobno. A ja mówię: „Jestem córką Józii”. I oni dopiero tam do mnie: „Ojej, ojej, ojej!”. No i oczywiście byłam u nich od tego właśnie 1945 roku, od lutego do czerwca 1945 roku, bo już w czerwcu 1945 roku wróciłam do Warszawy. Chciałam rozpocząć naukę. Myślałam, że sobie tam gdzieś kogoś tam znajdę z rodziny, że się tam gdzieś zainstaluję, i zainstalowałam się znów u tej pani, która mnie..., i tego pana Sieka, w Żyrardowie mi pomagali. Okazuje się, że oni mieszkali w Alejach Jerozolimskich dalej tam zaczęli, rozpoczęli mieszkanie, i ona mówi: „Choć, będziesz u mnie też spała na podłodze, tak jak zawsze, ale może się zainstalujesz”. No i tak się dostałam do Warszawy. I rzeczywiście tam rozpoczęłam..., czy jeszcze kończyć, czego się nauczyć? Rozpoczęłam od razu w czerwcu pracę u krewnego tego pana inżyniera poznanego. I teraz tak się potoczyło moje życie, że dostałam od tej firmy, dostałam się w bardzo życzliwe ręce, tak, że mi pokój wynajęto, wyremontowano, to była firma budowlana, która była podwykonawcą w firmie odbudowy Warszawy. Remontowaliśmy na Bagateli budynek i na Szucha dla przyszłej palestry, która miała nami rządzić. No. I tak potoczyła się sprawa. Wrócił mój tata z niewoli. – A kiedy? Kiedy, kiedy to się stało?? W Niemczech. Tak, tak, ale... Ale tata mój wrócił w ten sposób, jak mówiłam. Poszedł do Rumunii, przeszli przez Rumunię, Węgry, dostał się do Francji i czekali na transport do Anglii. I w 1940 roku Niemcy przyszli do Francji i ich zagarnęli. I od razu dostał się do niewoli w Niemczech. No ale grunt, że przeżył. Tak to było, ale wrócił z gruźlicą, mój tata. Tu, tu bardzo niedaleko, był w „Załomiu” [nazwa fabryki] jako mechanik. Sprowadzili go do fabryki części samolotowych.

I przychodził na odgruzowywanie Szczecina. Opowiadał mi, że w dniu urodzin Hitlera przyleciało 325 samolotów do Szczecina [aliancki nalot w kwietniu 1943 r.], zgruzowali całą część przemysłową, i jak po nalotach przychodzili oni jako jeńcy z „Załomia” do Szczecina odgruzowywać. Ponieważ tata znał niemiecki, to ten wachman, który ich tam prowadził, żeby nie uciekali, to jest taki..., to był podobno pan, który wrócił ze wschodu jako inwalida. Mieszkał gdzieś na Stołczyźnie [dzielnica], bo nawet mojego tatę do siebie zaprosił i mówił zawsze: „Janek, ty nie idź na odgruzowywanie, tylko idź poszukaj coś do jedzenia”. To mój tata mi opowiadał, że chodzili po śmietnikach, szukali obierek. Nie było obierek, bo Niemcy w mundurkach gotowali ziemniaki. Były tylko te skorupki, bo jak były obierki, to oni sobie tam w tych barakach, w „Załomiu” ja byłam, widziałam te miejsca, gdzie te baraki stały. Myli te obierki, gotowali sobie kartoflanę i tak się dokarmiali. Jak tata mój wrócił do Warszawy, zobaczył, że nie ma..., ani u jednej siostry nie może się zatrzymać, ani u drugiej siostry. Wszystko zburzone. Zabrał brata, był już mój brat, też wrócił z niewoli niemieckiej. Ten, który mnie ten jęczmień przywoził, przenośli w czasie Powstania. Zabrał jego i mówi: „Jedziemy do Szczecina, ja Szczecin znam, jedziemy do Szczecina”. I oni obaj przyjechali tutaj, a ja zostałam w Warszawie, no bo miałam pracę, już miałam tę naukę pisania na maszynie, bo to wtedy było takie bardzo aktualne. Mieszkałam u cioci, na właśnie Marszałkowskiej. Ciocia, u cioci uratowana została tylko kuchnia. To ciocia zamurowała wejście do pokoi i zrobiła dach z desek, położyła papę i takie schody jak się wносиło cegły na budowę, takie szczelbelki powbijane, i po tym żeśmy wchodziły do kuchni, i tam żeśmy się urządziły we dwie. Stało łóżko i kuchnia była. Dlatego, że były wszędzie kafelki, więc tylko tynk spadł, a kuchnia się uratowała. No i ja zachorowałam, i mój szef właściciel firmy, zaniepokojony dlaczego mnie nie ma w pracy, nie było telefonów, nie było kogo postać, żeby powiadomić, wybrał się do mnie na adres. Wszedł na Marszałkowską do bramy. Spojrzał dookoła same gruzy i zastanawiał się, gdzie tu mogą ludzie mieszkać? Ale zobaczył na pierwszym piętrze firanki. W oknie ciocia firankę powiesiła. Wdrapał się po tych szczelblach i dowiedział się, że to ja tam mieszkam. Okazuje się, że wezwał pogotowie. Tyfus. Zachorowałam na tyfus brzuszny. w Warszawie był taki smród, taki zapach trupi. Owoce, wszystko się kupowało z tych wózków stojących, kurz. Nie było ani chodnika, ani jezdni, tylko po gruzach były wydeptane ścieżki i ścieżkami się chodziło. I w tym szpitalu na Chocimskiej miesiąc czasu byłam właśnie. I dlaczego mówiłam o tym tyfusie, o tej chorobie? Bo w tym czasie mój szef na Mokotowie, zorientował się [że] na Puławskiej, jest mieszkanie na pierwszym piętrze, że ma zdemolowany balkon i brak ściany do tego pokoju. Nawiązał kontakt z lokatorem tego mieszkania, bo druga część był pokój i kuchnia ocalałe i tam okazuje się, że właściciel tej kamienicy mieszkał, że on się podejmuje wyremontować ten pokój, tę ścianę, ten balkon, żeby dostał nominację dla mnie, że jak ja wyjdę ze szpitala, to żeby ja do tego pokoju mogła już... I oni, ci gospodarze się zgodzili. To był starszy..., starsze państwo. I proszę sobie wyobrazić, że jak wyszłam ze szpitala, to mnie tam firma wprowadziła. W którym roku pani do Szczecina trafiła? W 1946, rok. Ale pierwszy raz, pierwszy raz jak przyjechałam, to mój tata zaprosił mnie na Wielkanoc w 1945 roku. To był, znaczy się kwiecień. No to ja przyjechałam właśnie na te zaproszenie zobaczyć, jakie tu warunki są, bo tata mi obiecał, że jeżeli ja zdecyduje się przyjechać do Szczecina, to pośle mnie do szkoły i to, i to, i to, i to, i tamto, i tak... I ja przyjechałam zobaczyć, jakie tu są warunki. I rzeczywiście rok później, skończyłam to, co tam w Warszawie miałam, i sprowadziłam się, we wrześniu 1946 roku już byłam tu w Szczecinie. Tata zajął mieszkanie, po Niemcach, w każdym razie takie mieszkanie, bo tutaj szabrownicy to było. Więc proszę sobie wyobrazić, że tata nie zamykał mieszkania, bo powiedział, że jak wejdzie taki zainteresowany i zobaczy, że otwarte, obejrzy się, że łóżka, stół, kredens, no to nic się nie wyniesie, nie? To przynajmniej zamka nie będzie psuł. No. Więc takie miał mieszkanie. Od razu podjął pracę. Brat w straży, mój tata w PK[S].., w komunikacji miejskiej, ja też zaraz dostałam pracę,

z miejsca. Tutaj byli pierwsi byli poznaniacy, pierwsi w Szczecinie, drudzy byli warszawiacy, i dopiero wtedy, później przyjechali ci ze wschodu, którzy..., no. Tak, że widzi pan, taka historia. Ten Tomek, to mnie tutaj... Tomasz Staliński. Tak, no tak, z „Paczki dla Bohatera”. Trzyma to środowisko tutaj szczecińskie, ale nie tylko. Mówię panu, że mnie chyba mama prowadziła. Wysłałam za męża. 65 lat żyłam. Miałam takiego wspaniałego przyjaciela. To ważne, żeby mąż był przyjacielem. Jego wszy jadły, [niezrozumiałe] miał, bo te 6 lat był w niewoli... Tak żeśmy się rozumieli. 7 lat temu, jak miał 95 lat zmarł, bo to dwudziesty rocznik, był 6 lat starszy ode mnie. Mam jedną córkę. Mam ją. Jadę teraz 1 [września], pan wojewoda mi funduje wycieczkę do Warszawy, na jaką pan minister Kasprzyk zaprosił. Córka ze mną jedzie.